

— Jeśli Maryewski sądzi, że z Warszawianką będzie szczęśliwy, niech się ożeni, to mi jest obojętne.

— Ależ to niepodobna, przecież on poznał Irenę tylko jako krewną twego ojca, i jeśli z nią będzie nieszczęśliwy, a będzie napewno, to cała wina spada na nas. Po tem, co zrobił twój ojciec, cały Kraków powie, że usidliliśmy Maryewskiego i zmusili do ożenienia się z Ireną, która go przecież bez naszej wiedzy kokietowała. Takim przelotnym ptakiem, jak Warszawianki, na opinii Krakowa nie zależy, a co innego my. Czy ty mnie rozumiesz, Jasiu?

Mąż wprawdzie nie rozumiał, ale, nie chcąc rozdrażniać żony, odpowiedział dyplomatycznie:

— No, tak, zapewne, — i puścił większy kłęb dymu.

— Jeśli zrozumiałeś, musisz naprawić to, co zbroiłeś. Jak myślisz, Klimeczko, gdyby tak ojciec dał Maryewskiemu do poznania, że właściwie wdał się niepotrzebnie w sprawę tego *rendez-vous*, że właściwie jestto rzecz jego osobista... co, Klimeczko?

— Ojczulek jest zbyt szczerzy człowiek, sam się zdradzi, a to może nas narazić, jakobyśmy chcieli przeszkodzić zaślubinom Ireny.

— Tak, masz słuszność. Najlepiej będzie zaprosić do nas Maryewskiego. Słyszysz Jasiu, to twoja rzecz.

— Ano, spróbuję, — westchnął radca.

— Zdaje mi się, mameczko, że w pierw należałoby zbadać, jak dalece posunęła Irena swoją sprawę z Maryewskim. Łatwo zmiarkujemy, bo Irena napewno się pochwali, że Maryewski ją odprowadza i że ojczulek stanął w obronie jej honoru.

Na radcę uderzyły poty. To samo przewidywał i on. A gdy Irena powie o jego surowości względem Maryewskiego i o naukach jej dawanych, w których Paulisia napewno dopatrzy jego zazdrość, wówczas będzie miał spokój zatruty przynajmniej na dwa tygodnie. Chcąc przeciwdziałać planom niewiast, zaczął, może zbyt gorąco:

— Naprawdę, nie widzę żadnych racji do zasięgania jakichś wiadomości od Czajkowskich. Czy mi nie wolno zaprosić Maryewskiego do siebie? czy nie jestem panem w swoim domu? mam pytać kogoś o pozwolenie?

— Tak, Klimeczko, ty miałeś rację, — westchnęła radczyni, — ojciec twój nic nie potrafi. Jemu się przecież wyobraża, że my chcemy prosić Czajkowskich o pozwolenie zaproszenia Maryewskiego, — śmiała się sucho, — słuchajże mnie Jasiu: nie spotykaj się z Maryewskim, nie zapraszaj.

— A jeśli go spotkam przypadkiem w biurze i on zacznie coś mówić o Irenie, o Sabince? — dopytywał się radca.

— Już tylko ty nic nie mów, on jest za mądry, ażeby kłaść palce między drzwi; a jeśliby coś wspomniał, ty udaj, że nie dosłyszalesz, że nie rozumiesz, a zaprosisz go, dopiero jak ja ci powiem.

— Czy już skończyło się, Paulisiu?

— Albo co?

Radca wyjął zegarek i rzekł:

— Już po siódmej, czekają tam na mnie z piwem. Pójdę.

— Idź, a nie zwierzaj się przed twymi koleżkami z tych kłopotów, których sam narobiłeś.

— Ani myślę, cóż ich to obchodzi! — wstał i wyszedł.

Maryewski, po rozstaniu się z radcą, podniecony rozmową, nie wrócił do domu, lecz poszedł wprost do cukierni i kazał sobie podać limonady na ochłodę wzburzonych nerwów. Dla formy wziął w rękę gazetę, ale nie czytał jej, tylko zastanawiał się nad niezwykłym wypadkiem w swym życiu. Napewno odchoruje tę rozmowę z radcą. I co temu staremu głupcowi strzeliło do łba, ażeby wyprawić scenę za tę niewinną przechadzkę z Ireną? On widocznie jej pilnuje. Wyczuje tak często na Plantach, przypuszczalnie on się w niej durzy, bo jak mu sama Irena opowiadała, prowadzi ją do cukierni, kupuje kwiaty, śledzi ją... I jaki on śmieszny w tej roli zakochanego, gdy sam ma starszą od niej córkę, nie przypuszcza chyba, ażeby Irena mogła się nim interesować, za stary, no i w życiu towarzyskim

nudny, niezaradny, jedyną jego zaletą, że jest dobrym, sumiennym urzędnikiem. To jednak nie stanowi żadnego tytułu do podobania się Irenie.

Liczył uderzenia swego pulsu i sprawdził stan podgorączkowy, co go jeszcze bardziej oburzyło na radcę. Siedząc przy lustrze, zasłonił się gazetą i obejrzał swój język. Nie dostrzegł nic podejrzanego. To go cokolwiek uspokoiło, jednak z kolei rzeczy pomyślał o doktorze.

Słowo doktor, przywiodło mu na myśl Lenckiego i mimowolnie zachmurzył się.

— Z takiego rywala, jak radca, — uśmiechnął się pogardliwie, — mogę sobie kpić. Co innego Lencki. Wprawdzie nie ma pozycji urzędowej, pensji stałej, ale bądź co bądź doktor, i może z czasem mieć znaczne dochody, a ten doktor systematycznie stara się o Irenę, to jasne. Przyjaźni się z Romanem i pod tym pozorem bywa u nich, kiedy chce. Z Ireną zawsze śmiechy, żarty, rozmowy o profesorach, o rywalach, a widząc we mnie niebezpiecznego rywala, stara się obniżyć moją wartość w jej oczach przy każdej sposobności.



Wziął w rękę gazetę, ale nie czytał jej, tylko zastanawiał się nad niezwykłymi wypadkami w swym życiu.

Ostatecznie raz ożenić się muszę, rozmyślał dalej, a wolę Irenę, aniżeli jaką Krakowiankę, z którą miałbym na karku całą bliższą i dalszą rodzinę.

W tej chwili przemknęło mu w myśli małżeństwo z Klimcią i wyobraził sobie, ile przykrości musiałby znosić od takiej teściowej, teścia, no i szwagierka, łobuza z pretensjami arystokratycznymi.

Porównyując Klimcię z Ireną, doszedł do przekonania, że Irena byłaby idealną żoną, matka jej bowiem i brat marzą tylko o powrocie do Warszawy i pod żadnym warunkiem nie zostaną w Krakowie. Niema co, trzeba się oświadczyć i ubiedzić doktora.

Zastanawiał się, w którym dniu ma to zrobić, jak się ubrać, jaki pierścionek kupić na zaręczyny, wreszcie, czy ma najpierw z Ireną pomówić, a dopiero z matką, czy też zrobić to w obecności matki, która przez dziwną troskliwość nie zostawia go sam na sam z Ireną.

Wprawdzie mógłby spotkać Irenę na ulicy, jak to dziś było, ale człowiekowi z takim stanowiskiem jak on, nie wypada czynić propozycji małżeństwa przygodnie, na ulicy; formy światowe są na to, ażeby je zachowywać.

Gdy tak rozmyślał, posłyszał tuż przy sobie głos doktora Lenckiego:

— Dobry wieczór panu, co to, limonada? czy po przepiciu? — śmiał się.

— To nie, ale byłem zirytowany.

— Nie widać tego po panu, — siadł doktor przy stoliku. — Wolno wiedzieć co pana wyprawa wodziło z równowagi? czy sprawa urzędowa? może awansu? — pytał z miną poważną.

— No, w urzędzie kłopotów nie brak, ale bezpośrednią przyczyną była rozmowa z radcą Terlikowskim.

— Czy proponował panu małżeństwo? — uśmiechnął się.

— Coś w tym rodzaju, — a przypomniawszy sobie przyrzeczenie dane radcy, kończył: — nie warto mówić, głupstwo... A pan doktor przyszedł na kawę?

— Nie, idę do państwa Czajkowskich i wstąpię po cukierki dla naszej wspólnej znajomej.

Maryewskiego niemile dotknęła ta wiadomość i rzekł z przekąsem:

— Pan doktor coś za często bywa na Zabiej, a te cukry dają dużo do myślenia.

— Cieszy mnie to, że dałem panu sposobność do myślenia, to przyjemne zajęcie.

— Pan mnie nie zrozumiał, panie doktorze, — mówiąc: „myślenie“ miałem na myśli możliwość starania się o rękę panny Ireny.

— Czy ma pan co przeciwko temu?

— Ja? coż znowu! nie mam przeciwko żadnym prawom panny Ireny.

W tej chwili chłopak przyniósł pudełko cukierków, a doktor podał rękę Maryewskiemu, mówiąc z miną dobroduszną:

— Jeśli pan idzie do domu, mogę panu towarzyszyć, a może wstąpi pan do państwa Czajkowskich?

— Nie dziś, — podkreślił ten wyraz, — znajdę stosowniejszą chwilę.

— Zarozumialec! — szepnął przez zęby i złem okiem powiódł za wychodzącym doktorem. Wkrótce jednak rozpoznał się na myśl, jak upokorzy doktora, gdy mu Czajkowsky powie, że on, Maryewski jest narzeczonym Ireny.

Po namyśle zdecydował się na sobotę jako dzień szczęśliwy, gdyż w sobotę otrzymał nominację na adjunkta.

Znając dobrze zwyczaje domowe Czajkowskich, wiedział, że Irena o godzinie szóstej wieczorem była zawsze w domu, a Roman około siódmej przechodził z biura, ażeby się przebrać po pracy.

W sobotę tedy, ubrawszy się starannie, z pierścionkiem zaręczynowym w kieszeni, wyglądał przez okno na dojeżdżającą Irenę z wykładów. Ujrzał ją idącą w towarzystwie dwóch kolegów, co go szczerze rozdrażniło; uspokoił się jednak tem, że po zaręczynach poprosi ją stanowczo o porzucenie uniwersytetu, a gdyby się bezwzględnie upierała, to wymoże na niej, ażeby

koledzy jej nie odprowadzali i wogóle nigdy jej nie towarzyszyli.

Gdy brał na siebie zarzutkę i gładził cylinder, uśmiechnął się na myśl, jak miłą niespodziankę zrobi Czajkowskim, gdy on, adjunkt sądowy, właściciel kamienicy, człowiek zamożny i niezależny, oświadczy się o pannę bez posagu, i zapewni jej pozycję, no i pensję wdowią.

Zadzwonił i z najprzyjemniejszym uśmiechem powitał Irenę otwierającą mu drzwi.

— Jak to szczęśliwie, że panią zastałem, — uściśnął podaną rękę.

— Szczęście przewidziane, bo widział mnie pan przez okno, — uśmiechnęła się wchodząc do pokoju.

— Dla mnie zawsze jestto szczęście, gdy widzę panią, — zawiesił palto w przedpokoju.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł, — przemówiła uprzejmie Czajkowska, — przysłano nam nakaz płatniczy z urzędu, a Romcia niema, — wyszukała papier i podała mu.

Spojrzał niedbale i objaśnił:

— To podatki, trzeba zapłacić.

(Ciąg dalszy nastąpi).